

O tym, jak zamieszkała w Anglii i nie tylko o tym....

- rozmowa z Panią Danutą Marszałek

Stourport-on-Severn to miejscowość w Anglii Środkowej, gdzie od wielu lat mieszka Pani Danuta Marszałek. Przyjechała do Wielkiej Brytanii w 1960 roku. Jako młoda dziewczyna, razem ze swoją siostrą odbyła podróż, która była punktem zwrotnym w jej życiu. Tu wyszła za mąż na stałe zakorzeniła się w nowym kraju.

- Z jakich stron Polski Pani pochodzi?

- Mieszkaliśmy w okolicach Łomży w miejscowości Miastkowo. Kiedy ojciec wrócił z niewoli niemieckiej przeprowadziliśmy się w 1946 roku do wioski Radosze w powiecie kętrzyńskim. Po wojnie Niemcy opuścili te tereny, rząd komunistyczny je zasiedlał, można było dostać ziemię za darmo. Ojciec wziął jej dużo - 27 hektarów a także dom i budynki gospodarcze. Moja siostra Marianna mieszka tam do dziś.

- W 1960 roku wyemigrowała Pani z Polski do Anglii, czekał tu na Panią korespondencyjny przyszły mąż. Czy było to Wasze pierwsze spotkanie?

- Pierwsze po latach. Rodzice męża i moja mama byli sąsiadami w Polsce. Stąd przyszły mąż pamiętał mnie, ale jako małą dziewczynkę. Był ode mnie starszy o dziesięć lat. Kiedy miałam dwadzieścia dwa lata, a siostra dwadzieścia, razem przyjechałyśmy do Anglii. W Londynie na stacji miałyśmy się zgłosić do człowieka z biało-czerwoną opaską. Był to wcześniej „umówiony” znak rozpoznawczy. Kiedy podeszłam do mężczyzny w opasce, moja siostra powiedziała: „Nie, nie to nie ten, patrz, tam stoi Stefan”. Rozpoznałam przyszłego męża z otrzymanego wcześniej w liście zdjęcia. Przedstawił się nam i pojechaliśmy do miejscowości Wrexham w Walii, a stamtąd do małej wioski Marchwiel. W pobliżu był też szpital wojska polskiego w miejscowości Penley.

- W jaki sposób utrzymywaliście kontakt wcześniej, zanim doszło do Pani przyjazdu do Wielkiej Brytanii? Czy pisaliście do siebie listy?

- Ponad dwa lata pisaliśmy do siebie. Organizatorką naszej znajomości i wyjazdu była przyszła teściowa. Po II wojnie światowej wraz z synami dotarła do Walii, niestety bez męża, gdyż zmarł on na Syberii. Teściowa była osobą bardzo przedsiębiorczą. Myśląc o przyszłości synów, starała się, aby ich żonami zostały dziewczyny z Polski, a nie Angielki. Czas korespondencji był równocześnie okresem organizowania wyjazdu z kraju. Starania teściowej zostały utrudnione w Polsce. Ktoś doniósł do ambasady, że ja i siostra nie jesteśmy jej rodziną i nie mamy prawa do wyemigrowania. Odmówiono nam otrzymania paszportu. Jednak nie zniechęciło to matki męża, która na nowo zaczęła zabiegać o nasz przyjazd, co tym razem zakończyło się sukcesem.

- Mogłaby Pani przybliżyć historię męża? Jak on dotarł do Anglii?

- Rodzina męża została wywieziona na Syberię podczas II wojny światowej. Jego tato nie przeżył wojny, zmarł w Rosji i tam został pochowany. Kiedy generał Anders utworzył oddziały wojskowe mąż włączył się do nich, następnie dotarł do Włoch, gdzie podlegał dowództwu generała Andersa. Mąż walczył w bitwie pod Monte Cassino. Rodzina Stefana planowała po wojnie udać się do Stanów Zjednoczonych, ale ostatecznie zatrzymała się w Wielkiej Brytanii w obozie wojskowym dla Polaków, początkowo w Szkocji, a następnie w Wrexham w Walii. Najpierw na Wyspy Brytyjskie dotarła teściowa, a potem z Włoch przyjechał Stefan i jego brat.



Obchody rocznicy bitwy na Monte Cassino, 2009 rok. Danuta Marszałek (piąta od lewej strony), Stefan Marszałek (trzeci od lewej strony)

- Czy po latach udało się Wam razem wybrać na Monte Cassino?

- Tak. W 2009 roku pojechaliśmy na uroczyste obchody rocznicy bitwy o Monte Cassino. Ja byłam tam już wcześniej z wycieczką, a mąż pierwszy raz od czasu wojny. Bardzo przeżył ten wyjazd. Zostaliśmy zaproszeni przez Stowarzyszenie Polskich Kombatantów z Londynu. W obchodach brał udział ówczesny prezydent Polski Lech Kaczyński. Na cmentarzu odbyły się uroczystości państwowe. Mąż wspominał jak to miejsce wyglądało przed laty. Odwiedziliśmy groby kolegów, którzy razem z nim walczyli, robiliśmy zdjęcia.



Monte Cassino, 2009 rok. Pani Danuta z mężem (pierwsza para od lewej strony)

- Czy w 1960 roku było Pani trudno opuścić Polskę? Był to przecież pierwszy wyjazd zagraniczny? Jak wyglądały sprawy formalne, transport?

- Jak człowiek młody to idzie na ogień! Ja byłam tego przekonania, że jeśli ludzie dają sobie radę to i ja radę dam! Najtrudniej było nam zostawić w Polsce ojca i najstarszą siostrę. Wychowałyśmy się we cztery, jestem średnia, najmłodsza Jadzia zmarła w 1947 roku mając zaledwie sześć tygodni. Młodsza ode mnie Janina i ja wyemigrowałyśmy. Widocznie takie było przeznaczenie.

- Jeżeli mogę zapytać, co się stało z mamą?

- Nasza mama zmarła kiedy ja miałam dziesięć lat, a młodsza siostra osiem. Były to naprawdę ciężkie czasy. Miałyśmy nową mamę, której ja jakoś nigdy nie akceptowałam. W sercu nosiłam rodzoną mamę. Tak naprawdę druga mama była bardzo dobrą kobietą. Pojechałaby z nami na koniec świata. W dzień wyjazdu towarzyszyła nam w drodze pociągiem z Kętrzyna do Poznania. Tam się z nią pożegnałyśmy. Przesiadłyśmy się do pociągu jadącego do Niemiec, następnie do Holandii, skąd płynęłyśmy promem 8 godzin do portu Harwich w Anglii. I dotarłyśmy do Londynu.

Dziękuję Bogu, że znałam język rosyjski, który umożliwił mi porozumiewanie się w czasie podróży. Proszę sobie wyobrazić, że ani ja, ani moja siostra nie znałyśmy jednego słowa w języku angielskim.

- W jaki sposób dostałyście się z portu w Harwich do Londynu?

- Kiedy zeszliśmy z promu, pokierowano nas do miejsca, z którego wyjeżdżał pociąg do Londynu. Jak wspominałam, komunikowałam się po rosyjsku, co również miałam zapisane w paszporcie: „biegle mówi po rosyjsku”.

- A czy łatwo było dostać paszport na taki wyjazd?

- Wszystko organizowała i opłacała teściowa. Funtów w Polsce były wtedy „na wagę złota”. Teściowa pokryła koszty związane z wydaniem paszportu. Ufundowała nam bilet nie tylko do Anglii, ale także powrotny, na wypadek gdybyśmy nie zdecydowały się pozostać w Wielkiej Brytanii. Razem z siostrą postanowiłyśmy, że jeśli nam się chłopcy nie spodobają, wrócimy do Polski. Po krótkim zapoznaniu z nimi, zdecydowałyśmy się, że jednak zostajemy.

- Po jakim czasie od przyjazdu doszło do małżeństwa?

- Tak się złożyło, że siostra bardziej wpadła w oko bratu męża, a ja Stefanowi. Dwie siostry wyszły za mąż za dwóch braci. Oba śluby odbyły się jednocześnie w katolickiej katedrze w Wrexham w Walii po miesiącu od przyjazdu do Anglii. Niestety w tamtym czasie nie było możliwe, by ktoś z Polski mógł na naszą uroczystość przyjechać. Przyjęcie weselne miało miejsce w domu teściowej. Uczestniczyła w nim najbliższa rodzina i znajomi oraz ksiądz Czesław Wysocki, który błogosławił sakrament. W sumie, w uroczystości wzięło udział około 20 osób.

- W tak krótkim czasie udało się załatwić wszystkie formalności związane ze ślubem? W obecnych czasach to przecież niemożliwe...

- Teściowa była przedsiębiorczą kobietą. Znała księdza Polaka. Wszystko załatwiła. Mnie nic nie obchodziło jeśli chodzi o sprawy formalne związane ze ślubem. Moim zadaniem było przygotowanie sukienki i welonu.

- W dzisiejszych czasach to niemożliwe, żeby po tak krótkiej znajomości wziąć ślub w Kościele. Zdarza się przecież, że ludzie znają się siedem, osiem lat zanim się pobiorą...

- I po roku się rozchodzą.... A my przeżyliśmy 58 lat razem. Nie przyjechałam tu do jakiegoś bogactwa. Po ślubie zostało mężowi w kieszeni tylko 10 funtów i nie mieliśmy mieszkania, można powiedzieć zostaliśmy „pod gołym niebem”.



Dzień ślubu. Z prawej strony Danuta Marszałek z mężem Stefanem, z lewej siostra Janina z mężem Aleksandrem



Jubileusz 50 lecia. małżeństwa w kościele parafialnym p.w. Matki Bożej Ostrobramskiej w Kidderminster. Jubilatom towarzyszy ks. Jan Góra, ówczesny proboszcz

- **Namawiała Pani męża na to, żeby po zarobieniu pieniędzy wrócić do Polski. Dlaczego? Czy były kłopoty ze znalezieniem pracy?**

- Tu brakowało mi tylko przysłowiowego „ptasiego mleka” w porównaniu do Polski. W latach sześćdziesiątych, w ojczyźnie były puste półki, tylko ocet na nich. Mąż podjął pracę w Slough, niedaleko Londynu. Wynajął małe mieszkanie u ludzi, którzy też byli dorobkiewiczami i je kupili. W Slough mieszkaliśmy w sumie cztery lata. Ja zatrudniłam się w fabryce, w której robiono czekoladowe ciastka. Chciałam zarobić jak najwięcej, żeby jak najszybciej się usamodzielnić, kupić dom. Zarabiałam dobrze, w pracy byłam przodowniczką. Kiedy wychodziłam na ulicę, czułam się jak głuchoniema. Nie znałam języka angielskiego.

- **Czyli głównym powodem, że chciała Pani wrócić do Polski była bariera językowa?**

- Tak. Mąż również bardzo słabo znał język angielski, do końca życia nie był to język przez niego opanowany, choć w Anglii był od roku 1947 a ja dotarłam 13 lat później. Dziś zazdroszczę tym wszystkim Polakom, którzy tu przyjeżdżają, potrafią porozumieć się w języku angielskim i zaraz dostają pracę. A my nie znaliśmy ani słowa...

- **A w pracy jak Pani się komunikowała?**

- W Slough w latach sześćdziesiątych była „druga Polska”. Mieszkało tam mnóstwo rodaków. Oni załatwili mi pracę. Kiedy po dwóch latach od ślubu urodziła się córka, przestałam pracować w fabryce. Zająłam się wychowywaniem dziecka, często spacerowałam z małą córką po ulicach Slough, przy tej okazji chciałam spotkać Polaków. Cieszyłam się, kiedy mogłam z kimś porozmawiać w ojczystym języku. Mąż również obracał się w polskim środowisku. Ukończył kurs tokarza. Po wojnie było duże zapotrzebowanie na takie zawody. Za pośrednictwem znajomego Polaka otrzymałam bardzo dobrze opłacaną pracę w zawodzie.

- **Jak Pani wspomina okres życia w wynajmowanym mieszkaniu?**

- Warunki mieszkaniowe były bardzo ciężkie. Najpierw dwa lata na „prywatce”. Kiedy urodziło się drugie dziecko, przeprowadziliśmy się na inne mieszkanie. Jeden pokój... Po kolejnych dwóch latach mąż od znajomego Polaka w pracy, dowiedział się, że budują nowe domy w Stourport-on-Severn. Kolega męża znał język angielski i pomógł mi w sprawach prawnych związanych z kupnem domu.

- **To jest ten dom w którym Pani mieszka do dziś?**

- Tak. W kwietniu 1964 roku budowa domu była ukończona. My wprowadziliśmy się 9 maja, wiele jeszcze było do zrobienia, podłogi brudne, ale mi wydawało się, że jestem najszczęśliwszą na świecie, bo moje dzieci miały dach nad głową. To na czym mi najbardziej zależało.



Z mężemw ogrodzie

- Jak często odwiedzała Pani Polskę?

- Co trzy lata jeździłam do Polski z dziećmi, z mężem, sama. Jeździliśmy na różne sposoby, samochodem i pociągiem.

- Czy Pani mąż mógł bez przeszkód odwiedzać Polskę?

- Tak. Mój mąż jako żołnierz, który walczył pod Monte Cassino, był w Polsce bardzo szanowany. Miał także obywatelstwo angielskie, które w późniejszym czasie również mi udało się uzyskać. Mąż bez żadnych przeszkód mógł jechać

do ojczyzny. Pamiętam, że w latach siedemdziesiątych kilka razy z rzędu byliśmy w Polsce samochodem.

- Czy wtedy nie chciała Pani zostać w ojczyźnie na stałe?

- W tym czasie już nie. Dzieci uczęszczały do szkoły w Anglii, ja nauczyłam się trochę języka i znów poszłam do pracy na pół etatu w miejscu, gdzie sprzedawano „fish and chips”. Wcześniej wychowywanie dzieci uniemożliwiało mi stały etat. Podejmowałam jedynie prace dorywcze, kilkugodzinne, kiedy mąż wracał do domu po pierwszej zmianie i mógł zajmować się dziećmi. Ze względu na niewystarczającą znajomość języka angielskiego, nie udało mi się dostać pracy umysłowej, zawsze przez Anglików byłam zatrudniona jako pracownik fizyczny. Wykształcenie średnie, które zdobyłam w Dzierżoniowie pozwalałoby mi wtedy pracować na stałe w zawodzie nauczyciela w ojczystym kraju. W 1965 roku w styczniu zaczęłam uczyć w istniejącej już szkole polskiej w Kidderminster.

- Gdzie mieściła się szkoła i w jaki sposób funkcjonowała?

- Zajęcia odbywały się w Klubie Polskim prowadzonym przez Stowarzyszenie Polskich Kombatantów (SPK) przy ulicy George Street. Ja uczyłam dzieci najmłodsze, czyli cztero- i pięcioletnie. W każdej z klas było ich około 25.

- Dwudziestu pięciu uczniów? To dość duża liczba...

- Tak. Ilość dzieci w polonijnych szkołach angielskich miała związek z tym, że pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych pojawiła się dla Polaków możliwość wyjazdów do ojczyzny. Skorzystało z niej wiele osób, zwłaszcza mężczyzn. Jechali poznać dziewczynę, ożenić się i sprowadzić ją do Wielkiej Brytanii. Inni przyjeżdżali do rodziców mieszkających po wojnie na Wyspach Brytyjskich.

- Czym zajmowała się Pani w szkole polskiej?

- W szkole uczyłam języka polskiego, historii, śpiewu i tańca, gdyż w Polsce należałam do zespołu tanecznego. Muzyka, śpiew i taniec były moją pasją. Dla młodszych uczniów szyłam ludowe stroje taneczne. Uczyłam dzieci kujawiaka, krakowiaka oraz innych narodowych i regionalnych tańców.

W klasach starszych religii i historii uczył ks. Rogiński-Wilnianin, który przeszedł obóz w Dachau. On również był pierwszym kierownikiem Szkoły Polskiej w Kidderminster. Uroczyście obchodziliśmy wszystkie święta narodowe i religijne. W późniejszych latach uczyłam też starsze klasy. W sumie w polonijnej szkole sobotniej w Kidderminster pracowałam jako nauczyciel 30 lat oraz 10 lat w piątkowej popołudniowej szkole polskiej w Worcester. Ministerstwo Oświaty i Edukacji w podziękowaniu za 40.letnią pracę w szkole przyznało mi medal. Odebrałam go w Polskim Ośrodku Społeczno – Kulturalnym w Londynie i nosiłam na sobie podczas świąt narodowych i patriotycznych uroczystości .

- Jak dzieci polskie były odbierane w szkołach angielskich przez nauczycieli i rówieśników?

- Angielskie dzieci początkowo traktowały nasze dzieci jako „obce” z powodu bariery językowej. Większość rodziców prowadziła rozmowy z dziećmi po polsku, gdyż nie znała języka angielskiego na tyle, by uczyć dzieci w domu i przygotowywać je w ten sposób do rozpoczęcia nauki w szkole angielskiej. Dzięki temu nasi synowie i córka do dziś bardzo dobrze znają język polski.

Rozpoczynając naukę w szkole nie znali języka angielskiego. Po kilku miesiącach, sprawnie komunikowały się w języku angielskim. Kiedy syn miał 8 lat, czytał już w szkole angielskie wierszyki. Jego nauczycielka kilkakrotnie mówiła mi:

„Bardzo dobrze, że nie uczyłaś go języka angielskiego”, dzięki temu lepiej poznał polski. Dzieci szybko się integrują, więc po krótkim czasie, kiedy poznały już język, nie było żadnych problemów. Nauczyciele mówili o nich, że mają większy zasięg wiadomości, gdyż znają dwa języki. Przyznam, że z chęcią uczęszczały do szkoły angielskiej.

- Kiedy podróżowała Pani do Polski, jak córka i synowie odbierali kraj, z którego pochodzą ich rodzice?

- Dzieci zawsze mówiły po polsku, nie miały problemów z nawiązaniem komunikacji z rodziną. Wyjazd do Polski na prowincję był dla nich „rajem”. Cieszyły się przestrzenią, lubiły bawić się ze zwierzętami i brać udział w żniwach, spacerować po łąkach. Naprawdę bardzo chętnie jeździły do Polski.

- Ma Pani trójkę dzieci. Udało im zakorzenić się w angielskim środowisku?

- Wszystkie moje dzieci skończyły uniwersytety, mają dobrą pracę. Do dziś każde z nich w rozmowie ze mną używa tylko ojczystego języka. Syn mieszka w Londynie i pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, drugi pracuje obecnie w Belgii. Obydwie synowe są Angielkami i zięć również jest urodzonym Brytyjczykiem. Mam siedmioro wnuków. Oni nie rozmawiają po polsku, choć wiele rozumieją. W małżeństwach mieszanych często trudniej jest uczyć języka, którym nie posługuje się na co dzień.

- Jak wyglądało życie polonijne w Pani środowisku?

- W Wielkiej Brytanii prężnie działała organizacja SPK we wszystkich większych ośrodkach polonijnych. Polacy po osiedleniu się w danym mieście angielskim w krótkim czasie zakładali Klub Polski. Tylko w nielicznych miejscach udało się zakupić budynek kościelny. Było to związane z wysokimi kosztami. Toteż Kluby Polskie odgrywały często rolę kościołów. Była w nich wydzielona sala na kaplicę. W klubach kwitło życie towarzyskie, odbywało się wiele zabaw i wspólnych spotkań. Jeździliśmy również do polonijnych ośrodków w sąsiednich miejscowościach np.: do Wolverhampton i Worcester. Naprawdę czuło się Polskę, był polski bufet i orkiestra oraz prawdziwa polska zabawa.

- Czy integrowaliście się ze społeczeństwem angielskim?

- Początkowo nasze życie toczyło się głównie w środowisku polskim. Kiedy dzieci założyły własne rodziny z Anglikami, sytuacja się zmieniła. Zaczęliśmy intensywniej integrować się ze środowiskiem angielskim. Choć jeśli chodzi o Klub Polski w Kidderminster, zawsze mieliśmy tu wielu Anglików, którzy poślubili polskie dziewczyny i również Polaków z żonami Angielkami.

- Czy zastanawiała się Pani, jak potoczyłoby się życie, gdyby nie wydarzył się przyjazd do Anglii?

- Z jednej strony trzeba pomyśleć, że człowiek liczy się nie tylko ze swoim szczęściem. Mąż był zadowolony, że poślubił Polkę, że miał dzieci. Moje życie w Polsce pewnie różnie by się układało. Mąż był człowiekiem, którego nazywa się „złota rączka”. O cokolwiek go poprosiłam, wszystko umiał zrobić. Ja byłam odpowiedzialna za domową kasę. Mąż wierzył, że pieniędzy nie roztrwonię.

Razem przeżyliśmy 58 lat. Uroczycie w poszerzonym gronie rodzinnym i znajomych świętowaliśmy 50 lat małżeństwa. Zamówiliśmy również Mszę świętą z tej okazji. Świętowaliśmy również, choć nieco skromniej, 55. rocznicę naszego ślubu. Następnie były kolejne. W 2018 roku mąż zmarł. Przed śmiercią podziękował mi, że przyprowadziłam go do wiary. Poprosiłam księdza, wypowiedział go oraz udzielił sakramentu namaszczenia chorych. Kiedy odwiedzam grób męża mówię: „Stefan, wstawiaj się u Boga za nami”.

Jestem zadowolona z miejsca, w którym mieszkam. Żyje mi się tu dobrze. Mam kontakt z innymi Polakami. Angażuję się w życie parafialne, niegdyś należałam do chóru kościelnego. Liczył on 20 osób i raz w tygodniu mieliśmy próby w Klubie Polskim. Śpiewaliśmy w kościele podczas większych uroczystości. Obecnie jestem zelatorką (przewodniczącą) grupy różańca świętego.

- Kiedy ostatnio była Pani w Polsce?

- W 2019 roku. Pojechałam z córką Bożeną, która obecnie ma ponad 50 lat. Ostatni raz była w Polsce jako dziecko. Kiedy przyjechałyśmy, rodzina była zdziwiona, że wciąż bardzo dobrze rozmawia w języku polskim. W końcu urodziła się i była wychowywana w Wielkiej Brytanii, a teraz na co dzień pracuje w angielskim środowisku i ma męża Anglika.

Chciałam, żeby jako dorosła osoba, na nowo zobaczyła dokładnie miejsca, z których pochodzę. Tereny łomżyńskie są bardzo piękne, córka też w nich się zakochała. W rodzinnym Miastkowie pamiętam każdą ścieżynę, każdy dom. Miałam 10 lat kiedy stamtąd wyjechałam. Odwiedziłyśmy moich siostrzeńców, rodzinę mojej cioci. Widziałyśmy kościół, w którym byłam ochrzczona i przyjąłam pierwszą Komunię. Dokładnie pamiętam konfesjonał, przy którym po raz pierwszy się spowiadałam i również pokazałam go córce. Pojechałyśmy także do Janowa. Stamtąd pochodził mój mąż. Jego rodzina nigdy nie wróciła do Polski. Zobaczyłyśmy tamte miejsca, obecnie nikt z krewnych męża tam nie mieszka. Córka chciała dowiedzieć się skąd pochodził ojciec, nigdy wcześniej tam nie była. Zrobiła wiele zdjęć i podziękowała mi, że pokazałam jej nasze rodzinne strony. Po powrocie do Anglii powstał album z podróży.

- Dziękuję za interesującą rozmowę.

siostra Halina Pieróżak
Misjonarka Chrystusa Króla
dla Polonii Zagranicznej
04.05.2020 r.

Pani Danuta Marszałek wyraziła zgodę na publikację ww. wywiadu.